

„MARMUROWA GÓRA” KHAN TENGRI 7010m.n.p.m.

DECYZJA

Był koniec kwietnia 2002 roku, kiedy dowiedziałem się o planowanym przez Marcina Miotka wyjeździe w Tien – Szan na Khan Tengri. Wypisałem na kartce wszystkie niezbędne koszty i podliczyłem. Pomyślałem: sporo, ale kiedy w pracy usłyszałem, że zakup lampy oświetleniowej to koszt mojej wyprawy podjąłem decyzję i kupiłem bilet na samolot.

PRZYGOTOWANIA

Do wyjazdu miałem jeszcze 2 miesiące. W tym czasie wyjechałem w celach aklimatyzacyjnych w Alpy. Ostatni miesiąc spędziłem na intensywnej pracy fizycznej nad sobą. Z dnia na dzień forma rosła. Na tydzień przed wylotem skończyłem treningi i skupiłem się jedynie na jedzeniu.

CEL

Celem naszego 5 osobowego zespołu był szczyt Khan Tengri położony na granicy Kirgizji i Kazachstanu, jeden z dwóch 7-tysięczników pasma górskiego Tien – Szan tzw. „Niebiańskich Gór”. To najdalej wysunięty na północ 7-tysięcznik na świecie, z tego też względu panują na nim ekstremalne warunki pogodowe, które wraz z wyglądem i trudnościami technicznymi przysporzyły mu nazwę małego K2. Naszym celem była droga klasyczna od strony południowej.



Khan Tengri widziane z bazy 4000m.n.p.m.

WYJAZD

Był koniec lipca, kiedy to wylecieliśmy do Moskwy, a stamtąd dalej do Bishkeku. Gdzie wynajęliśmy busa i po załatwieniu niezbędnych pozwoleń udaliśmy się do miasta Karakol i dalej do bazy wojskowej Maida – Adyr. Tam po krótkim postoju zabieramy się helikopterem w dość kiepskim stanie dalej, na lodowiec do bazy. Dwa dni od wylotu z Polski zajęło nam dostanie się do bazy znajdującej się na wysokości 4000m.n.p.m. - REWELACJA! Obawialiśmy się, że nasze organizmy nie zniosą tak rewelacyjnie równie szybkiego skoku wysokości. Przejście na ciśnienie rzędu 650 hPa mój organizm, poza pewnym osłabieniem, zniósł bez rewolucji.

BAZA

Z bazy rozlegał się wspaniały widok na okoliczne szczyty, w większości 6-tysięczniki i dwa 7-tysięczne kolosy. Widok Khan – Tengri zapierał dech w piersiach, jego wierzchołek był 3 kilometry nad naszymi głowami, a marmur, z którego jest zbudowany nadawał mu w promieniach słońca krwawo-purpurowy kolor. Pogoda, jak na razie, była przepiękna. Już następnego dnia wnosimy depozyt żywnościowy do obozu 1 położonego na wysokości 4200m i oddalonego o około 8km drogi lodowcem. Niebo bezchmurne. Pogoda wręcz plażowa, tylko sceneria nie ta sama. Spacerując po lodowcu, wykorzystujemy każdą chwilę na robienie zdjęć. Nasz cel wraz ze zbliżaniem się do niego rósł do nie wiarygodnych wręcz rozmiarów



Baza - rozstawianie namiotów



Wiertalot w bazie

Już z obozu 1 położonego na skraju lodowca trzeba było mocno zadzierać głowę, aby zobaczyć jego wierzchołek. Jeszcze tego dnia po powrocie do bazy, omówiliśmy krótko plan na najbliższe dni. Plany

planami, a i tak wszystko zweryfikuje pogoda. Mieliliśmy przed sobą 2 tyg. na akcję. Tego dnia Janusz poczuł się źle, kaszel, katar i ogólnie coś nie tak, więc musiał spędzić przynajmniej jeszcze dzień w bazie. Reszta natomiast zgodnie z planem wyszła z całym ekwipunkiem do obozu 1. Utworzyły się 2 zespoły, jeden tworzyli Kinga z Marcinem, a drugi – Janek, Janusz i ja. W naszym zespole różnica wieku między najstarszym Jankiem i najmłodszym mną wynosiła 28 lat! Także byłem w zespole dwupokoleniowym.

OBÓZ 1

Do obozu 1 dotarliśmy w padającym śniegu. Szybkie rozstawienie namiotu, gotowanie w przedsiönku i spać. Jednym z problemów zdobywania tej góry od strony południowej stanowi przejście kuluarem z obozu 1 do 2 z uwagi na ponad 1000m różnicy wysokości i nieustannie schodzące w dzień lawiny. Znajdowanie się tam, gdy operuje słońce to wielkie ryzyko. Także rozstawienie namiotu po drodze to nawet w oczach rosyjskich wspinaczy igranie ze śmiercią. Przez kolejne dwa dni nie udaje się nam wyjść z depozytem ze względu na załamanie pogody. Człowiek zaczyna się denerwować, że nic nie może poradzić, tylko czekać. W tym czasie dochodzi do nas Janusz, którego stan zdrowia się poprawił. Dajemy odpocząć mu jeszcze dzień i decydujemy się na wyjście nocne. Natomiast Marcin z Kingą wychodzą dzień wcześniej.



Obóz 1 – ostatnie chwile laby



W ciepłym śpiwoku z pięknym widokiem za „oknem”



Obóz 1 po nocnej śnieżycy



Przyjaciel BAŁWAN

DŁUGA NOC

O godz. 21 wychodzimy z całym dobytkiem. Podłącza się do nas dwójka wspinaczy Anglik i Hiszpan. Ruszamy dość ostro przy światłach czołówek. Widać, iż każdy z nas aż pali się do akcji. W pewnym momencie Hiszpan zawraca, nawet nie powiedział czemu (gorąca krew). My idziemy dalej. Na wysokości około 4600m Janusz, pomimo licznych namów, rezygnuje. Twierdzi, że jeszcze musi odpocząć w bazie. Obiecuje, że po 2-3 dniach spróbuje znowu. Idziemy w 3 (Janek, Kiv i Ja). Zaczyna znowu sypać śnieg, a wysokość i rozrzedzone powietrze dają się odczuć. Nagle w ciemności, słyszymy tąpnięcie, a zaraz potem huk i szum. Wszyscy trzej w bezruchu nasłuchujemy, z której strony nadchodzi LAWINA! Prawie jednocześnie staramy się biec w prawo. Oddaliśmy się od ścieżki jakieś 100m, słysząc, jak lawina przechodzi obok nas. Chwila odpoczynku i napięcie mija, ale było blisko. Wracamy na ścieżkę, jak się okazuje nawet w nocy jest tu bardzo niebezpiecznie. Mozolnie idziemy do góry. Zauważam, że Kiv słabnie. Jesteśmy na wysokości około 4800m. 100m wyżej Kiv znajduje pozostawiony dzień wcześniej przez kolegów depozyt i postanawia przy nim zostać. My ruszamy dalej. Jesteśmy bardzo zmęczeni. Idziemy pod wielkimi serakami. Czasem tylko zastanawiamy się, że kiedyś to musi spaść. Docieramy do spiętrzenia lodowca. Jest poręczówka, po której wspinam się z wielkim trudem. Mój wór waży ponad 30kg. Wykończony padam w śnieg po przejściu poręczówki. Oddech łapię chyba przez 5 minut, aż zaczyna mi być zimno. Zaczyna świtać. Idzie nam się coraz ciężiej, właściwie to po przejściu 30 kroków

odpoczywam. Każdy metr do góry to wielkie wyzwanie, aż wreszcie widzimy czubek jakiegoś namiotu na polu śnieżnym. Ogromna radość, której nie mamy nawet siły okazać. Pokazuje jedynie palcem znak OK, a w środku człowiek cieszy się jak dziecko. Ostatnie metry i jesteśmy. Wreszcie plecak na ziemi. Koniec morderczej walki. Budzimy Marcina i Kingę. Cieszą się, że jesteśmy. Ale oni troszkę odchorowali noc tutaj. Jeszcze tylko wykopanie platformy pod namiot, ugotowanie czegoś do picia i SPAC! Jesteśmy w obozie 2 na wys. 5200m (mój nowy rekord wysokości).

OBÓZ 2

Pogoda nam dopisuje. Dzień jest znów przepiękny. Słońce i super widoczność. Z wejścia do namiotu mamy widok wprost na Pik Pabiedy. Ten dzień mija nam na rozmowach z innymi członkami wypraw. Znajomości kwitną. Góra robi automatyczną selekcję, czym wyżej tym mniej spotyka się wspinaczy. Następnego dnia wychodzimy rano z depozytem żywnościowym do obozu 3 na wysokości 5900m. Obóz ten jest położony około 100m pod przełęczą oddzielającą Khan Tengri i Pik Czapajewa. Dzisiaj zostawiamy tam jedynie depozyt i kopujemy jamę śnieżną. Po kopaniu na tej wysokości ledwie żyje. Schodzimy do obozu 2 przy mocno padającym śniegu, który momentalnie zaciera ślady i szczeliny. Wmuszam w siebie parę suszonych moreli i spać. Budzę się z potwornym bólem głowy. Pomimo zaaplikowania mocnych leków przeciwbólowych ból tylko zelżał. Śnieg wciąż padał. Idę spać, robiąc sobie jedynie coś do picia. Sypie całą noc. Rano wstajemy prawie całkowicie przysypani. Narada co robimy dalej. Tutaj robi się niebezpiecznie. Co jakiś czas lecą lawiny z Piku Czapajewa w kuluar zejściowy. Z niepokojem obserwujemy wielkie nawisy śnieżne na południowej ścianie Khan Tengri, jak coś polecą, to obóz 2 zniknie. Już tej nocy spałem z nożem pod karimatą. Ktoś rzuca hasło, aby już jutro zaatakować szczyt. Nowa propozycja zakładała wyjście dzisiaj do obozu 3, by jutro spróbować stanąć na wierzchołku góry. Troszkę chyba przestraszeni zagrożeniem lawinowym przystajemy na takie rozwiązanie, wiedząc, że żadne z nas nie ma odpowiedniej aklimatyzacji. Mija dopiero 7 dzień od momentu wyjazdu z Polski. Wychodzimy około 15.00. Przed wyjściem jeszcze spotykamy dziewczynę z Bułgarii, kompletnie wykończoną. Należała do ekipy, która wozem ciężarowym podróżowała po Azji. Wcześniej byli na Mustag Ata 7546m w Chinach. Teraz wycofała się z wysokości 6700m. Strasznie narzeka na warunki panujące u góry, na bardzo silny wiatr i straszne zimno.

Ruszamy. Dość szybko dochodzimy do obozu 3.

Kładąc się spać nie czuję się najlepiej. Nawet napoje wywołują mdłości. Ustalamy wyjście na godz. 5.00. Budzę się o 3.45. Janek już przygotowuje coś do picia. Szybkie ubieranie i pakowanie, i w drogę. Wychodzimy.

ATAK NA SZCZYT

Początkowo droga biegnie poręczówką na przełęcz, a potem dalej filarem w kierunku szczytu. Ubraliśmy się troszkę zbyt ciepło, co krępowało nam ruchy i musieliśmy ściągać jedną z wewnętrznych warstw polaru. Najgorsze jednak było to, iż chroniąc kurtkę przed porwaniem przez wiatr, przycisnąłem ją plecakiem i jak się później okazało rozbiłem sobie w ten sposób szkła okularów lodowcowych, które miałem w kieszeni kurtki. Tak więc cały dzień, choć pochmurny, spędziłem bez okularów. Ze względu na bardzo zły stan większości poręczówek wchodzimy na nie pojedynczo lub w ogóle z nich nie korzystamy. Wspinaczka filarem jest męcząca bardziej z powodu rozrzedzonego powietrza niż trudności technicznych, choć zdarzają się miejsca bardziej wymagające.



Obóz 2 – 5200m.n.pm. widok na Pik Pabiedy



Wyjadacze z Gruzji z Jankiem



Ściana Piku Czapajewa – źródło ciągłych lawin

Po przejściu jednego z uskoków w filarze na wys. 6500m, ustalamy godz. 17, do której idziemy. Jeśli nie dotrzemy w tym czasie na szczyt to zawracamy. Jesteśmy coraz bliżej. Jeszcze tylko uskok skalny i zaraz tam będziemy. Dodatkowo widzę na górze dwie sylwetki siedzących osób. Jeszcze parę kroków i wchodzę na szczyt, wielka radość w środku się gotuje. Zaraz będzie ten upragniony moment, kulminacja całego wsiłku. Wchodząc tam z wielkim smutkiem zauważam, iż jest to jedynie kulminacja skalnego filara, a nie wierzchołek góry, który jest jakieś 150m wyżej. Prowadzi do niego śnieżna grań. Jest około godziny 17.00. Według 2 Hiszpanów wracających właśnie ze szczytu, jesteśmy jakieś 1,5h od celu. Już go widzimy jest wysokość około 6850m. Szybka kalkulacja, na szczycie możemy być około 18.30. Potem trzeba będzie jeszcze zejść 1100m w dość trudnym terenie przy światłach czołówek, a na dodatek nie możemy zakładać, że pogoda się nie pogorszy, zważywszy, że ostatnio każdej nocy przychodziło jej załamanie. Jesteśmy po głównych trudnościach drogi, lecz zapada decyzja o odwrocie. Każda następna minuta drogi w górę będzie ciągnęła za sobą kolejną w drodze w dół. Widok roztacza się stąd przepiękny, wszystkie okoliczne szczyty stoją poniżej naszych stóp, stały się takie malutkie, morze gór. Zaczyna się uporczywe schodzenie w dół. Niestety liny poręczowe są tak zamrożone, iż nie można ich wcisnąć do przyrządu zjazdowego, a przynajmniej jest to zbyt czasochłonne, więc schodzę wpięty jedynie karabinkiem w poręczówkę. Teraz dopiero na zejściu czuję zmęczenie. Kiedy poziom adrenaliny opada człowiek staje się słaby i obojętny na wszystko. To pewien rodzaj letargu, znieczulenia. Nawet nie wiem jak długo to trwa, ale szybko robi się ciemno. Każdy schodzi na własną rękę, myśląc tylko o tym, aby jak najprędzej znaleźć się na dole i położyć się spać w ciepłym śpiworku. Do upragnionej przełęczy docieram około godz. 22 może 23. Marcin i Kinga szli przede mną. Już ich nie widać. Nade mną mający światło czołówki Janka, jakieś 200m wyżej. Teraz tylko zejście 100m po poręczówce przez szczelinę brzezną do ukochanej jamy śnieżnej. Ale w ciągu dnia padał śnieg, więc wszystkie ślady zostały zatarte. Szukam mozolnie, chyba ponad godzinę, ścieżki do poręczówki. Postanawiam schodzić, ale wygląda to nie ciekawie, żadnych śladów. Teren coraz bardziej się spiętrza w dół. Już schodzę twarzą do ściany. Pod warstwą około 20- 30 cm śniegu jest twardy lód. W ciemności mający mi końcówka ścianki. Już jestem pewien, że to nie to miejsce, ale



Ostatnie 1100m widziane z Obozu 3 - 5900m.n.p.m.



Widoki z górnych partii Khan Tengri



wys. 6850m.mn.pm. w tle Pik Pabiedy

schodzę dalej. Nagle następuje obryw, właściwie wszystko na lewo ode mnie wyjeżdża. Utrzymuję się na czekaniu i rakach. Jeszcze troszkę trawersu w prawo i w dół. Wydaje mi się, że mam jeszcze może 15m na dół. Nagle tąpnicie i wszystko, wydawało się, że cała ściana jedzie w dół, a ja razem z nią. No i poleciałem, stałem się częścią lawiny. Wydaje mi się, że lecę całą wieczność, niezliczone fikołki do tyłu. Myślę tylko, aby nie wpakowało mnie do szczeliny, a potem ładnie zasypało. Bezsilność - dziwne uczucie, kiedy nie masz żadnego wpływu na to co się z tobą dzieje. Chyba dzięki jedynie potwornemu zmęczeniu i zubożeniu nie zdaję sobie do końca sprawy, że to może być mój koniec. Wreszcie się zatrzymuję. Panicznie łapię oddech i wygrzebuję się ze śniegu. Jeszcze nie wiem ani gdzie jestem, ani czy jestem cały. Nagle widzę majaczące kontury gór. Jestem na powierzchni! Strach zamienia się w radość, ale nie na długo, ponieważ zauważam oddalającą się ode mnie w dół moją czołówkę, moje światło. Obserwuję, jak jest coraz dalej. W końcu się zatrzymuje, jakieś 200m niżej. Jestem bez światła. Powoli zbieram się i idę po nią póki jeszcze baterie działają i mogę ją znaleźć. Po drodze zastanawiam się, czy przeżyłem to wszystko, aby teraz po ciemku wpaść w szczelinę w lodowcu. Moja droga w dół jest jakby drogą do światła. Po drodze próbuję sobie przypomnieć położenie szczelin z wcześniejszych wędrówek. Wreszcie docieram do niej. Jestem na wysokości około 5400m, czyli poniżej obozu 3, ale blisko obozu 2, gdzie stoi nasz namiot. Zastanawiam się chwilę dokąd mam się udać. Jednak perspektywa braku wiadomości od reszty, i o mnie u nich, bierze górę i prę do góry, aby spokojnie położyć się spać. Docieram do 3. Po drodze obserwowałem moje ślady do światła. Ominąłem tylko o może 10m dwie szczeliny. Jestem w mojej jamie! W środku smacznie śpi Janek i jeszcze dwóch Anglików. Jeszcze topię śnieg na maszynie do picia i wreszcie idę spać. Jest godzina 4.00. W końcu w śpiworcu po 24 godz. akcji.

OBÓZ 3

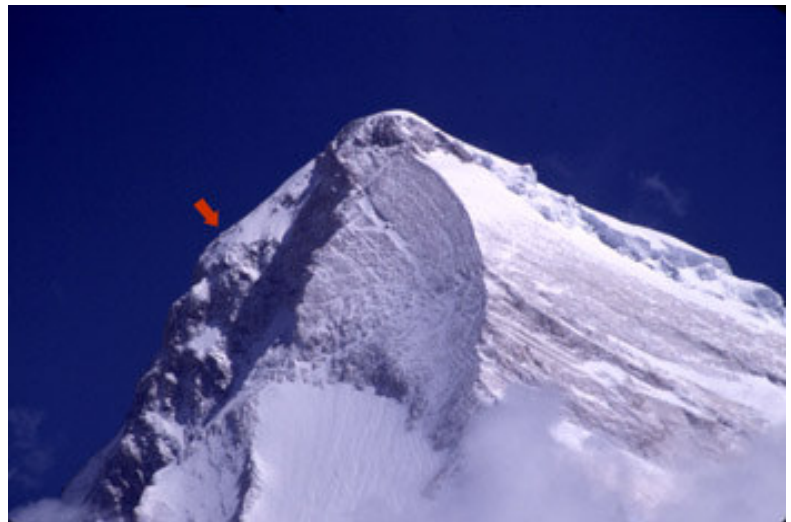
Budzę się z okropnym bólem oczu - to wynik braku wczoraj okularów. W ogóle nie mogę ich otworzyć. Ból jest potworny i się nasila. Budzę Janka, który podaje mi krople do oczu na naświetlenie. Przy zakrapianiu ból jest nie do opisania. Po 3 zabiegach, z wielkim trudem próbuję otworzyć oczy. Widzę tylko kontury. Całkowicie nie ostro. Po pewnym czasie się poprawia i nawet mogę wstać. Leżymy cały dzień w jamie. Po południu rozmawiam z Anglikami z naszej jamy. Mają w ekipie lekarza. Diagnoza - chwilowa śnieżna ślepotą. Zakropi mi oczy abym mógł w nocy zejść do bazy. Tam mam siedzieć w namiocie i nie mieć kontaktu ze słońcem przez około 3 dni. Na razie muszę się wycofać, mając nadzieję, że powtórnie spróbuję.

ZEJŚCIE DO BAZY

Wieczorem zaczynamy schodzić, Ja do bazy, bo nikt u góry nie ma zapasowych okularów, reszta do obozu 2, aby tam odpocząć przed ponownym atakiem. Po drodze oglądam lawinisko, którego jeszcze wczoraj byłem częścią. Poleciałem jakieś 300m w dół ze zwałami śniegu. Poręczówka była jakieś 150m na lewo. Docieramy do obozu 2. Pakuję szybko rzeczy i ruszam samotnie w dół. Od reszty dostaję przyzwolenie na zjedzenia wszystkich smakołyków w bazie, oprócz miodku.

Idzie mi dość szybko, nawet sobie śpiewam. W czasie zejścia w dół mam dość czasu, aby porozmyślać.

Takie samotne chodzenie po górach, szczególnie nocą, jest szalenie myślogenne. Około 24.00 docieram do obozu 1. Tam rozmawiam z Turkiem, który częstuje mnie sokiem pomarańczowym i ciastkiem z marmoladą, pokazuje wolny namiot, abym tam przeczekał do świtu. Zmęczenie wygrywa i się zgadzam. Przed zaśnięciem zjadam ciastko. Ten posiłek będę pamiętał do końca życia, wybieram wszystkie okruszki z papierka i spokojnie zasypiam. Budzę się dopiero o godz. 8. Słońce już dawno operuje. Oczy znowu bolą. Po 2h wędrówki docieram do bazy. ALE NASZEGO NAMIOTU NIE MA! A już się cieszyłem na spotkanie z Januszem. Po zagadaniu obsługi dowiaduję się, że zrezygnował i poleciał na dół. Wskazują mi rzeczy w depozycie. Dają mi namiot bazowy za 5\$ za noc. Szybkie gotowanie i przejrzenie zapasów żywności. Przy samym przeglądaniu się obżarłem.



Kopuła szczytowa Khan Tengri widziana z bazy z zaznaczonym w przybliżeniu miejscem wycofu

Odpoczywam cały dzień. Następny także. Potem podejmuję jeszcze dwie próby podejścia do kolegów w górze, ale zawsze coś mnie zatrzymuje, albo awaria zegarka i wstaje zbyt późno, albo od tego natłoku smakołyków mój żołądek się buntuje. Czuję się dość słabo. Chyba po prostu adrenalina ze mnie zeszała i wyszło teraz zmęczenie. W końcu postanawiam odpuścić. Potrzebna była szybka akcja, do ustalonego powrotu pozostały 3 dni. Tak zakończyłem moją przygodę z Khan Tengri na tym wyjeździe.

Natomiast reszta uczestników wypoczęła przez 3 dni w obozie 2. Marcin i Kinga zaatakowali szczyt ponownie, tym razem wspinaczka z obozu 3 na wierzchołek zajęła im niespełna 6 godz., przy odpowiedniej aklimatyzacji. Właściwie to tylko nie wiem dlaczego Janek nie wziął udziału w drugim ataku.

Wszyscy zrobili mi piękny prezent schodząc do mnie w moje urodziny. A już myślałem, że będę je obchodził bez nich, z Rosjanami i ich samogonem.

Po wyprawie:

Janusz wykurował się dopiero w domu, u Janka po przyjeździe stwierdzono przepuklinę, a u mnie okulista stwierdził dziurę w dnie oka, i używając kropeł na sterydach staram się ją zakleić.



Kinga na szczycie Khan Tengri
fot.M.Miotk

tekst Marcin Hennig

zdjęcia również za wyjątkiem jednego